

Kulesza, Józef

Z pamiętnika nauczyciela kresowego...

Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego 5, 194-202

1991

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Z PAMIĘTNIKA NAUCZYCIELA KRESOWEGO...

OD REDAKCJI: Józef KULESZA jest powszechnie szanowanym i znanym nauczycielem i działaczem społeczno-kulturalnym w Tłuszczu. Pochodzi z Podlasia, gdzie urodził się we wsi Wykno Stare w 1904 roku w rodzinie chłopskiej, prastarej, silnie wkorzonej w wartości i wzory przepięknej kultury ludowej Podlasia. Stąd pęd do wiedzy i kultury, który zaprowadził J. Kuleszę w szeregi nauczycielstwa; najpierw na kresach Rzeczypospolitej, następnie po 1945 r. w Tłuszczu, aż do emerytury. Kilka pokoleń uczniów to Jego wychowankowie...

Ale Józefa Kuleszę nie zadowalała tylko rola nauczyciela-wychowawcy w szkole. Był nauczycielem — twórcą kultury. Pisał wiersze i opowiadania. Napisał trzytomowy pamiętnik, razem blisko 400 stron maszynopisu, który bez przesady nazwać można dokumentem czasu i doli tej formacji nauczycieli i tego pokolenia inteligencji polskiej — pochodzenia chłopskiego, ludowego. Wszak były to czasy II Rzeczypospolitej z ogromnymi nadziejami po ponad wiek trwającej niewoli, okrutne czasy podwójnego najazdu i okupacji — sowieckiego i hitlerowskiego — który był udziałem ludności polskiej na kresach. A J. Kulesza był tam zaangażowany w tajne nauczanie i w działalność AK. Wreszcie czasy powojenne, tak upragnione, i tak skomplikowane, trudne, pełne niebezpieczeństw, szczególnie dla starszej generacji nauczycieli, zaangażowanych w AK i tajne nauczanie, zwłaszcza na kresach. To w pamiętniku znajduje kapitalne odzwierciedlenie. Do tego pamiętnika postaramy się wrócić w naszych "Zeszytach".

Poniżej publikujemy wspomnienie — opowiadanie (we fragmencie) Józefa Kuleszy, nadesłane w br. (1991) na konkurs pamiętnikarski Towarzystwa Przyjaciół Ostrołęki i OTN na pamiętniki czasów wojny i okupacji oraz czasów powojennych. Autor opisuje okres tuż po przejściu frontu sowiecko-niemieckiego w 1944 r. przez wieś, w której przebywał, działał w AK i w tajnym nauczaniu, razem z rodziną. Jest to okres bardzo trudny dla polskich formacji podziemnych i nauczycieli polskich. Publikowany fragment oddaje atmosferę i realia tamtego czasu — nader realistycznie i interesująco. Stąd nasz wybór tego właśnie fragmentu...

W końcowych partiach tego autobiograficznego opowiadania mamy dalsze losy autora i jego rodziny, nakreślone w dużym skrócie aż do 1955 r. To jest jakby zarys najkrótszy części wspomnianego pamiętnika — dokumentu, który wart jest osobnej analizy.

BRONISŁAW GOŁĘBIEWSKI

Cały przebieg tego wydarzenia trwał bardzo krótko. Zwolniłem kroki. Upewniłem się, czy nikt mnie nie pędzi. Jednak z całą ostrożnością posuwałem się do miejsca zamieszkania, aby uprzedzić kuzyna, Wojciecha, u którego zamieszkała moja żona, który miał nas przewieźć z Solk z rzeczami, aby nie wpadł w ręce bojców, którzy przyszli po mnie. Już nie wchodziłem do domu, bo mogli w każdej chwili tu zawitać owi bojcy, a drugi raz może nie udałoby się mi łatwo się pozbyć "takich opiekunów". Czekaliśmy na powrót żony. Rozmawialiśmy w kilkoro o moim wyrwaniu się z rąk uzbrojonych żołdaków.

Zmierzch zapadł. Krwawy zachód jesiennego słońca rozpalił połowę nieba i wyzłacał ciemny błękit, który przechodził w gamę chłodnych zieleni. Stado wron obsiadło z krzykiem najbliższą topolę. Rozbłyśły światła w wiosce, gdzie była teraz moja żona. W tym domu, gdzie teraz była moja żona, świeciło się tylko u gospodarza. Oni w ciemności czekali na moje przybycie. U nas wszyscy poszli spać, a ja czekałem, a ja tam czekałem potem ukryty. Chłód przenikał przez ubranie, oziębiał ciało i kości, a łęk i rozpacz ziębiły duszę. Modliłem się szczerze i gorąco dziękując Bogu za opatrność tyle razy doznaną. Teraz myślałem tylko o żonie. Głowiłem się, lecz nic nie mogłem wymyślić, nie umiałem jej przyjść z pomocą. Nie mogłem tam iść, bo domyślałem się, że oni na mnie tam czekają...

Nad ranem udałem się do kuzynów, którzy mieszkali na kolonii. Opowiedziałem im wszystko. Oni wysłali syna na zwiady, a ja zasnąłem zagrzebany w sianie na chlewach. Około godziny dziewiętej powrócił ten chłopiec i oznajmił, że ciocia wróciła. Wujek tam nie może iść, bo oni zapewne pilnują nadal... Musieliśmy czekać do nocy, a żona też nie mogła nic uczynić, gdyż może oni i ją obserwują.

W tym nieszczęściu rodziło się i szczęście. Cieszyłem się niezmiernie z powodu żony, bo znowu byliśmy w komplecie, chociaż rozłączeni... Tego dnia godziny bieging strasznie wolno, nie mogłem się doczekać spotkania i dowiedzieć się tego, co się działo z żoną po mojej ucieczce i co robili pilnujący żołdacy... Zapadł upragniony zmrok. Spotkaliśmy się z żoną. Łzy radości i szczęścia płynęły nam z oczu. Całe opowiadanie było przerywane łkaniem.

Żona mówiła: "Stałam jak słup soli, chyba biała i załęczniona. Żołdak przejrzał listę do końca, która była dosyć długa i trochę zabrała czasu. Podniósł wzrok, gdzie przedtem stałeś, oczy wyszły mu na wierzch, twarz przybrała minę zdziwienia i złości, z którą zapytał "Kuda on?!" i zwrócił się do żołnierza stojącego we drzwiach. Ten odpowiedział — "Nie znamy". Obydwaj wybiegli z domu i zaczęli szukać w stodole, po chlewach, przewracali snopki słomy i żyta, kłuli bagnetami słomę. Ja stałam w oknie i patrzyłam na to wszystko modląc się i załamując ręce, bo myślałam, że ukryłeś się w stodole. Wybiegli z podwórza, obiegli wszystkie budynki, spojrzeli w stronę pobliskiego lasu i pogrozili pięściami — jakby mnie tam widzieli...

Powrócili do domu, zwołali domowników i mnie, pytali, gdzie ja się podziałem. Wszyscy odpowiadali, że nie widzieli. Podoficer nie kazał nikomu wychodzić z domu. Sam siedział ze mną w jednym pokoju, a żołnierz chodził i wypatrywał mnie. Mnie kazał się położyć, a sam chodził po mieszkaniu, wypatrywał przez okna i mówił: "Kak on udrał?!". Zapadł zmrok, nadeszła długa noc, podchodził do okien i stale powtarzał: "Kak on udrał?!". Myślał, że ja przyjdę do ciebie w nocy. Mówił po rosyjsku: "Wpuścisz go, żebyś nie krzyczała, bo palnę tobie i jemu w głowę"... Przystawiał mi rewolwer do głowy. Kiedy to nie pomagało i ty nie przychodziłeś, wściekał się jeszcze bardziej i powtarzał stale "kak on udrał". Mówił — ja tyle lat pracuję w NKWD i nigdy mi się coś takiego nie przydarzyło... nawet nie słyszałem o takim przypadku. Ty musisz wiedzieć, gdzie on jest, powiedz ja jego tylko przepytam i uwolnię was oboje... Brał mnie na różne spytki, prosił i groził. Odpowiadałem, że nie wiem. Groził, że zrobi ze mną, co zechce, że mnie zmaltrętuje i muszę powiedzieć. Milczałam. To go irytowało i znowu łagodniej odzywał się do mnie. Wypytywał, czy chodzimy do kościoła, czy kochamy Boga, jak żyliśmy podczas okupacji... Modliłam się w duchu, żebyś chociaż nie przyszedł tu. Szczekanie psów we wsi, każdy odgłos sprawiał wielki lęk w mojej duszy, że to może ty idziesz... To była najstraszniejsza noc w moim życiu. Nie bałam się o siebie, ale o ciebie i o dzieci. Różne myśli wirowały mi w głowie, myślałam, że zwariuję... Świtało. Mój nocny opiekun siedział przy stole podparty rękami — może spał, może myślał... Dzień wkradał się do ciemnego pokoju, rozpędzał cienie i jaśniej robiło się w duszy. Mój "opiekun" podszedł do mnie

i oświadczył: "Jeżeli nie zaprowadzisz nas do męża, to ty pójdziesz z nami, a on i tak zostanie ujęty. Oboje pojedziecie w głąb Rosji, a kto będzie wasze dzieci chował... Namyśl się". Dobił mnie tymi słowami, bo tak może być, pomyślałam... Nie miałam innego wyjścia i byłam zdecydowana i przymuszona iść z nimi. Ja zginę, ale on może przeżyje i dzieci wychowa i to mi dodało odrobinę pociechy... Czekaliśmy w milczeniu. Godziny płynęły. Podeszłam do okna w kuchni i mało nie zemdlałam. Za wierzwą przydrożną stała moja córka Zunia. Zobaczyła mnie. Opanowałam się. Dałam znak, żeby uciekła stąd. Odeszłam od okna, żeby nie zdradzić jej obecności. Groziło i jej wywiezienie...

Usiadłam. Żołdak zauważył moje zdenerwowanie, ale nie domyślał się przyczyny. Podeszedł do mnie i powiedział: "Ubieraj się. Idziemy!". Oprzytomniałam. Założyłam palto i grubą chustkę. Nie wiedziałam, co brać. Poszłam pożegnać się z gospodarzami. Dali mi duży kawał razowego chleba i trochę surowej słoniny. Zaczęłam strasznie płakać. Nie wiedziałam, gdzie iść. Wyprowadzili mnie na drogę. Obejrzałam się. Opodal za drzewem stała Zunia i lała łzy... Byłabym upadła. Podtrzymał mnie żołnierz. Nogi odmówiły posłuszeństwa. Podeszłam kilka kroków. Podoficer zatrzymał mnie, popatrzył na moje zapłakane oczy i powiedział: "Idi domoj! Twój Boch ciebia achranił...". Ja oparłam się o starą wierzbę, przymknęłam zażawione oczy i usiadłam. Zunia wyczekała chwilę i kiedy żołnierze znikli za pierwszym domem, podbiegła i pomogła mi wstać, ale strumień łez płynął z jej radosnych oczu... Potem udałyśmy się obydwie do kuzynów, gdzie wszyscy na nas czekali.

Opowiadanie długo jeszcze trwało, gdyż wszyscy przeżywalismy to wydarzenie. Poszliśmy na stare miejsce, gdzie czekał na nas Rysio. Tu postanowiliśmy pozostać, tylko ja miałam spać na chlewach, głęboko zagrzebany pod sianem i słomą. Stale byliśmy pod wrażeniem i w lęku, że nasi "nowi goście" mogą nas odwiedzić w każdej chwili. Przez pewien czas wędrowałam do bliskich kuzynów w różnych wioskach, zaś rodzina została na starym miejscu.

Kiedy się trochę życie wiejskie zaczęło normować i ochłonęliśmy z tych tarapatów, zacząłem swoje i kuzynów dzieci potrosze uczyć, a noce już normalniej przespiać w nowej kryjówce, która była w szczycie obok stojących chlewów, gdzie były szpary pomiędzy deskami, a dwie z nich rozsuwały się u dołu, którądy można było wejść i zejść po drabinie i zabrać ją ze sobą. Krótsze dni mijały szybciej, a nadziei na polepszenie naszego bytu nie było widać. Nasz własny dom znajdował się w pasie przyfrontowym, skąd usunięto wszystką ludność cywilną. Minął listopad, przyszedł beżśnieżny grudzień i długie wieczory przy kopcącym gaziczku w kominie.

Na kilka dni przed Bożym Narodzeniem siedzieliśmy właśnie w taki wieczór i gwarzyliśmy o różnych sprawach, a dzieci bawiły się bliżej kuchni. Mroczno było w izbie i zasępionych twarzy nie łatwo było rozpoznać. Późnym wieczorem pies zaszczekał i ktoś zakolał do drzwi siennych. Poderwaliśmy się wszyscy, a brat Wojtuś otworzył drzwi izby i zapytał: "Kto tam?". "Adkroj" odezwał się głos z zewnątrz. Spojrzeliśmy po sobie. Żona ścisnęła mnie za rękę. Serce zakolało, jak to pukanie do drzwi. Nikt nie mógł wymówić słowa. Gospodarz otworzył szeroko drzwi. Błysnęła latarka elektryczna, zaala izbę mocnym światłem i oślepiła nas. Trzymał ją tęgi bojec z rewolwerem u pasa. Szybko wszedł do izby i światło oraz kroki skierował do drzwi alkierzowych. Odruchowo otworzyłem je, potem następne do środkowej, ciemnej komory, gdzie często pędzono tu samogon, a obecnie stały żarna i wiele rupieci. Gospodarz poszedł za nim, a ja cofnąłem się momentalnie i przez sień, którą on wszedł, wybiegłem na podwórko. Stąd do gumna i po drabinie wlażłem na chlewy. Zawarczał pies. Cmoknąłem na niego i drabinę wciągnąłem za sobą. Odrzuciłem trochę snopków słomy, dostałem się do mojego legowiska i obłożyłem się powrotnie snopkami.

Nastawiłem uszy. Zaległa długa cisza. Czekałem na skrzypnięcie drzwi wejściowych domu. Nikt nie wychodził z domu. Patrzyłem przez szpary pomiędzy deskami. Wpatrywałem się w oświetlone okna. Nic. Cisza. Ciemna noc wokół, tylko gęsta mgła zaczęła się zamieniać w drobny deszczyk. Umysł pracował, a myśli obiegały dom, zaglądały do jego wnętrza, ale nie mogłem wyjaśnić sedna sprawy oraz przewidzieć nocnego dramatu. Słyszałem tylko bicie własnego serca. Czasami krowy zmęczone przeżuwaniami pomrukiwały lub konie parskały przy żłobach. Po kilku godzinach, około północy skrzypnęły drzwi. Ktoś wyszedł. Usłyszałem cichą rozmowę po rusku. Obudziły się psy i zaczęły szczekać. Potem cisza. Światło zgasło.

Myślałem, że odeszli. Lecz zaczęło się najgorsze. Od strony lasu rozległa się seria strzałów z pepeszy, potem druga, trzecia i następne. W przerwach usłyszałem gruby głos "uchadi, ubiom kak sobaku!". Potem znów seria za serią, które zbliżały się w moim kierunku. Padłem na twarz i zacząłem się modlić. Myślałem, że się może pałają budynki i dwa stogi siana. Zakryłem się mocno snopkami słomy. Na kilka metrów przed moim legowiskiem strzały ustały. Zrobiło się cicho. Natężyłem słuch. Usłyszałem cichą rozmowę i bicie własnego serca, które kołatało w piersi. Otarłem pot z czoła i cały zamieniłem się w słuch. Bałem się poruszyć, aby nie zdradzić swojej kryjówki. Zaległa długa cisza...

Czekałem na nową serię strzałów. Czekałem na śmierć od kuli lub w płomieniach walących się stropów... Sekundy stawały się godzinami, tylko to biedne serce kołatało jak uwięziony ptak, który chce się wydostać z klatki. Różne domysły i przypuszczenia krążyły po głowie. Długo siedziałem w tej zadumie. Podsunąłem się bliżej desek w szczycie i przez szpary nie zauważyłem żadnej zmiany w otoczeniu. Zmrużyłem oczy i przysnąłem. Obudził mnie przyciszony głos żony "Żyjesz?". Odpowiedziałem, nic mi nie jest. Znów cisza i zasnąłem...

Zbudzono mnie na śniadanie. Myśleliśmy, że ty już nie żyjesz. Tyle strzałów padło. Nic się nie paliło, tylko całe serie kul szły po ścianach chlewów i stodoły, a do ciebie już nie starczyło im chyba naboji. Były to kule niezapalające. Obejrzelśmy budynki, były dziury po strzałach, lecz żadne zwierzę nie zostało zabite. Wielka radość z ocalenia mieszała się z goryczą cierpienia całej rodziny. I za co?

Chyba byłem już "spalony", więc postanowiliśmy udać się do bliskich kuzynów w innych wioskach. Zunia została na tym miejscu, żona przeniosła się na Kuckę do wujka Ożarowskiego, a ja z Rysiem do cioci Julci na Kuckę. Przykre było to rozstanie, ale innego wyjścia nie było. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, które musieliśmy spędzić w rozłące. Największą uciechą było to, że wszyscy przeżyliśmy chyba najgorszy okres, chociaż nie było choinki i prezentów, a nawet wspólnego dzielenia się opłatkiem. Tam, gdzie żona się ukrywała, był też ciągły ruch, ponieważ był to punkt różnych przetrutów podziemia.

Te święta chcieliśmy zakończyć uroczyście i całą naszą rodziną spotkaliśmy się u cioci Julci, lecz pod lasem ukazało się kilku jeźdźców radzieckich, którzy kierowali się do naszej zagrody. W tej sytuacji rozeszliśmy się w różne kierunki. Ja udałem się do bliskiego lasu, a potem do wsi — Nowego Wykna. Potem powróciłem do lasu, by obserwować ich ruchy. Kiedy oni już odjechali, to powróciłem do rodziny. Zostałem tu na noc, ale całą noc przeleżałem w wądole, który znajdował się w chlewku dla kur, był zakryty nawozem i stało koryto. Była to straszna noc. Sam nie mogłem z niego wyjść i dusiłem się z braku powietrza. Dopiero raniem uwolniono mnie z tej męczarni.

Ciocia miała pięciu synów, troszczyła się o nich i bała się mnie tu przetrzymywać. Udałem się więc do innej siostry ciotecznej do Chojanego. Tu przyjęto mnie chętnie. Spałem w alkierzyku, ale miałem schowek, potem urządzony przy kominie i wędzarce.

A początkowo nocowałem w stogu słomy z innym uciekinierem, który stał na podwórzu i miał schowek dla konia, z którego wyciągał się jeden snopek, wchodziliśmy do środka i zatykaliśmy ten otwór sami za sobą. Poślanie było dosyć wygodne, bo była pierzyna, poduszka i prześcieradło. Od wiatru byliśmy zabezpieczeni, ale mróz był w środku i nie mogliśmy go wypędzić własnym ciepłem. Najgorsze wrażenie sprawiała grobowa ciemność tu panująca. Zawsze była ciemna noc i nie wiedzieliśmy, kiedy poranek i która godzina. Budzono nas, ale zdarzało się, że ktoś był na podwórku czy w otoczeniu i wtedy długo czekaliśmy na pobudkę. W takim stanie osłabiał się wzrok i traciliśmy panowanie nad sobą. Mus zwyciężał wszystko...

Postanowiłem spać w domu, a w razie niebezpieczeństwa przebywać w innej kryjówce, już w domu. Jedną ze ścian tej kryjówki był komin, który ją ogrzewał. To było dobre rozwiązanie i dawało możliwość przetrwania ciężkiej zimy. Korzystając z tego zakamarka dożyłem wiosny mojego życia — słońca, powietrza i szerokiej przestrzeni... swobody...

Z córką spotykałem się przy nauce, a Rysio podczas mrozów przebywał u cioci Julci i częściej spotykał się z mamusią, która przebywała u cioci Ożarowskiej, też na kolonii na Kucce. Jej mąż, chociaż był w podeszłym wieku, należał do AK i z jego domu szły wszelkie przetrzuty w teren, ponieważ przebywał tu dowódca tej organizacji. Miał pseudonim SIWY. Spełniał wszelkie polecenia, o każdej porze dnia i nocy wyruszał w teren do poszczególnych osób, a znał wszystkie ścieżki i kryjówki. Zwykły małorolny człowiek poświęcił ostatnie swoje lata dla dobra Ojczyzny. Nie wyciągał ręki po złoto, które przewoził dla innych. Tu obecnie przebywała moja żona i czuła się jak we własnym domu. Widziała spotkania ludzi podziemia i odwagę "Siwego", człowieka honoru i dobrego Polaka. Kilka razy odwiedziłem tu żonę i wychodziłem stąd pocieszony na duchu. "Nie martw się, szwagierku, będzie lepiej". Po tych słowach byłem bardziej zdolny do przetrwania.

Wiosna niosła nadzieję powrotu do własnego domu, gdyż front odsunął się z naszych terenów i ludność powracała do swoich gospodarstw. Żona odwiedziła Rutki. Nasz dom stał nienaruszony. Nikt w nim nie mieszkał, a na ścianie był napis »MINY«. To widocznie odstraszało ludzi i nikt tu nie zaglądał. Wreszcie żona przeniosła się do własnego domu i zaczęła się krzątać za sprowadzeniem wywiezionych częściowo mebli oraz gromadzić jakiś zapas do wyżywienia rodziny. Jednocześnie obawiała się, że władze będą ją atakowały o mnie. Ale jakoś sprawa ucichła i oficjalnie nie pytano jej o nic...

Widzieliśmy bliski koniec i upadek naszych wrogów i wolność dla naszej Ojczyzny. Wreszcie żona zabrała dzieci do siebie, gdzie już organizowano naukę w szkole. Gorzej było z wyżywieniem ich i siebie. Ja nie mogłem im pomóc, bo nie pracowałem zarobkowo. Pensji nie było. Jeden raz dopiero otrzymałem pięć rubli w złocie, za które kupiłem pięciolitrową butelkę miodu na podtrzymanie zdrowia. O nic nie prosiłem nikogo, a szczególnie — podziemia. W dalszym ciągu przebywałem u tych samych kuzynów i trochę im pomagałem w pracy.

Żona często odwiedzała mnie i naradzaliśmy się nad dalszym naszym losem. W czerwcu wybrałem się jednak do Rutek. Wieczorem wymknąłem się cichaczem, jak lis do nory, do własnego domu. Radość nie miała granic. Żona i dzieci przyjęły mnie całym zapasem żywności, a lzy szczęścia i goryczy były deserem tej uczy... Minął rok, jak opuściliśmy nasz dom i dopiero teraz spotkaliśmy się w nim, i to tylko na jedną noc... Siedzieliśmy po ciemku, aby nikt nic nie widział. Sen zmorzył powieki i twardo spaliśmy. Słonko było wysoko, a my spaliśmy. Dopiero mocne pukanie do drzwi zbudziło nas. Weszła sąsiadka i zobaczyła mnie. Oniemiała na mój widok i szybko wykrztusiła: "Sowici chodzą na naszej ulicy...".

Jak piorunem rażony ubrałem się częściowo, resztę manatków w rękę i wskoczyłem w krzewy lугrestu, rosnące po drugiej stronie ulicy, nie czekałem długo, gdy od strony wschodniej na tej ulicy szedł enkawudzista i cywil. Przeszli obok mnie. Zajrzeli do naszego domu i wyszli. Kiedy byli jeszcze w bramie, cywil, dawny Akowiec z Jatek, oznajmił bojcowi: "Jej mąż został wywieziony do Rosji". I poszli dalej. Odetchnąłem ze strachu, lecz domyśliłem się, że to była mowa o mnie. Widocznie ci Rosjanie, którym nie udało się wywiezienie mnie ze wsi w Solkach, zapisali w raporcie, że zostałem wywieziony do Rosji i już zapewne nie żyję...

Długo leżałem w tym cuchnącym zielsku i pokrzywach. Dopiero kiedy rodzina sprawdziła ich nieobecność w pobliżu, wyszedłem z ukrycia. Nie przebywałem tu długo. W wielkim żalu i łzach pożegnaliśmy się. Długo siedziałem na skraju lasu i wpatrywałem się w okna rodzinnego domu. Ból targał skołatany sercem. Płakałem jak małe dziecko... Zmuszony siłą woli szedłem jednak — wygnany pies... Szedłem na przelaj, gdyż ten kierunek był mi znany. Kontrastem do mojego położenia było piękno czerwcowego krajobrazu, z którego teraz nie mogłem się cieszyć. Myślał byś, że przyszedłem do rodziny. Widziałem wiszącego u szyi syna i córkę, zażawioną żonę, ich żal i boleść... Patrzyłem w obraz przeszłości, naszego szczęścia i naszych planów na przyszłość. Teraz to wszystko ukazało mi się w czarnym zwierciadle. Wieczorem powróciłem do swoich kuzynów i tu zostałem prawie na całe lato. Pomagałem im w pracy. Dni się wlokły i noce bezsenne jeszcze gorzej działały na nerwy. Martwiłem się o rodzinę, która musiała sama sobie radzić.

Pewnej nocy wybraliśmy się aż do dalszych terenów we trzech, żeby sprawdzić i zorientować się o naszej organizacji. W drodze powrotnej zatrzymałem się w rodzinnym domu. Tu spotkałem swojego ucznia, który mieszkał teraz aż w Wejherowie. Widocznie miał tam poważną funkcję, gdyż przyrzekł mi, że będę tam mógł pracować bezpiecznie. A potem przeprowadzkę całej mojej rodziny nad morze. Miałem polityki do syta i przyrzekłem sobie unikanie takowej.

Sierpniowy poranek złocił się wschodzącym słońkiem. Na zachodzie niebo malowało się błękitem, a smugi dymu unosiły się prosto w górę i zakłócały statyczność kolorowego firmamentu. Ludzie ze wsi podążali na pola. Wąskimi drózkami, przez pola i lasy zdążałem pieszo do najbliższej stacji kolejowej w Czarnowie. Żona z dziećmi została w Rutkach we własnym domu. A ja wędrowałem w świat za chlebem. Ciężko było opuszczać rodzinę i najmilsze gniazdko, uwite własnymi rękami, w którym musiałem zostawić to, co mi było najdroższe — żonę i dzieci... Połykałem gorzkie łzy, serce szarpał ból rozpacz, nogi odmawiały posłuszeństwa. Ale mus pchał do przodu w nieznanne...

W pociąg, zatłoczony przez żołnierzy polskich i radzieckich, a częściowo i przez cywilów, wsiadłem, a raczej wcisnąłem się, i ja. Było tak tłoczno, że po prostu wisiałem w powietrzu wśród stojącego tłumu. A małe zawiniątko wypadło mi z rąk i tylko czułem je nogami. Po ciężkich trudach i przesiadkach wreszcie dotarłem do celu wraz ze swoim uczniem. I tu, w Wejherowie, zamieszkałem u nich.

Wojna nie poczyniła tu wiele zniszczeń. Miasteczko powracało do życia. Jakiś dziwny instyngt i przepowiednia uchroniło mnie od nieszczęść, a może i śmierci. Tu też zauważyłem, że "pocztka szeptana" zaczyna odgrywać rolę w życiu tego miasteczka, że są już aresztowania, że rozgrywiają się osobiste porachunki na tle politycznym, że idzie walka o władzę. A wojsko ma pieczę nad całością spraw. Poczuję się zaniepokojony, wkradł się lęk do duszy — może mnie ktoś oskarżyć o przynależność do podziemia, aresztują mnie i wywożą w nieznanym kierunku?

Postanowiłem powrócić w swoje strony. Na pół godziny przed odjazdem pociągu oświadczyłem, że jadę po rzeczy i tu wrócę, gdyż obawiałem się, że się domyślą

i zatrzymają mnie. Wykupiłem bilet do Warszawy i wyjechałem, lecz część moich rzeczy zostawiłem dla niepoznaki... Miałem siedzące miejsce, zasnąłem. Widok Warszawy postawił mnie twardo na nogach. Znalazłem się w stolicy. Usiadłem pod jednym ze zniszczonych budynków i rozmyślałem nad swym losem...

Udałem się do inspektoratu na Pradze. Zostałem serdecznie przyjęty na rozmowę przez starszego pana. Wysłuchał dokładnie mojej prośby, zrozumiał moje położenie, ale do pracy nie mógł przyjąć z braku miejsca. Doradził jednak, abym zwrócił się do inspektoratów podwarszawskich, a zapewne sprawę załatwią pomyślnie. Los chciał, że na ulicy spotkałem kolegę ze szkolnej ławy, zaprosił mnie do domu w Wołominie. Tu spotkałem kolegę, przełożonego z AK. Była to wielka niespodzianka i radość.

Na drugi dzień poszliśmy do inspektoratu w Radzyminie. Inspektor, starszy pan, przyjął nas z otwartymi ramionami i otrzymaliśmy posadę. Ja w Grabiach, a kolega w Zagościńcu. Tu się zakwaterowaliśmy. Ja zamieszkałem u starszej pani i przez dwa tygodnie organizowałem szkołę w Grabiach. Jednak nie udało się nam zorganizować w tych miejscowościach nauczania, więc udaliśmy się jeszcze raz do inspektoratu i przydzielono nas do szkoły podstawowej w Tuszczu. Powiadomiłem żonę, ażeby zabrała trochę rzeczy i wszyscy niech przyjadą do Zagościńca, a stąd udamy się do Tuszczu. Tak się też stało. We wrześniowe dni snuły się nici "babiego lata", a my w komplecie rodzinnym snuliśmy swoje zamiary jutra...

Kierownik szkoły Antoni Grzelak i wszyscy nauczyciele przyjęli nas bardzo serdecznie i rozpoczęliśmy nauczanie. Zamieszkałem z rodziną u państwa Soszyńskich. Były to najszczęśliwsze dni naszego życia w czasie wojennym... Grono nauczycielskie było dobrane pod każdym względem. Szybko dopasowaliśmy się do tej rodziny nauczycielskiej i czuliśmy się dobrze. Młodzież była w różnym wieku, od siedmiu do szesnastu lat. Młodzież była pilna i pracowita, a przeszła gehennę niewoli. Szanowali wszystkich i wszystko, więc stosunek do nauki był bardzo dobry. Wynagrodzenie nasze było bardzo skąpe, więc rodzice nawet pomagali materialnie. My zaś ze swej strony odplacaliśmy się wyteżoną pracą. Dwa pokoiki z małą kuchenką wystarczyło nam w zupełności. Mieliliśmy tylko własną pościel i ubranie, ponieważ nie zabraliśmy z Rutek wszystkiego. Proponowano mi pracę w spółdzielczości, gdzie zarobiłbym trzykrotnie więcej, ale odmówiłem, gdyż los mnie związał z tym zawodem. Zawsze mówiłem: a kto będzie dzieci uczył.

Tą myślą przepojony, zostałem żniwiarzem na tej pożytecznej niwie. Wielu kolegów w tym czasie porzuciło ten zawód. W mojej rodzinie było nawet bardzo źle. Dzieci wyniszczyły różne choroby i niedostatek. Żona po tych wszystkich przejściach chorowała, w mieszkaniu chodziła na czworakach. Nie było pieniędzy na leczenie. Czarny chleb był bardzo smaczny, a posmarowany powidłami "własnego wyrobu z cukrowych buraków i marchwi" był smakołykiem. Kubek czarnej, zbożowej kawy z sacharyną był prawdziwym nektarem. O mięsie nie było mowy. Dobrze, że było czym okraszyć zupę czy ziemniaki. Taki stan długo nie trwał, ale trzeba było samozaparcia, silnej woli i wyteżonej pracy. Nieraz mówiliśmy pomiędzy sobą, że człowiek jest cierpliwsi i wytrwalsi od zwierzęcia. I tak było...

Taki stan nie mógł trwać długo. Znalazłem kilka korepetycji i ten dodatkowy zarobek pozwolił na lepsze odżywianie się oraz leczenie poważnej choroby. Przez cały miesiąc jeździliśmy z żoną do Warszawy na naświetlania. Trwało to dłuższy czas, a droga przejścia w Warszawie wśród ruin była bardzo uciążliwa. Szło się po gruzach, gdyż Warszawa była jednym olbrzymim rumowiskiem. Ludzie często stali na ulicy i pytali się o nią. W kilku dzielnicach ocalało trochę domów, a to dlatego, że Niemcy tu mieszkali. U przechodniów najczęściej widziało się łzy w oczach, a u wielu szloch rozpaczy. Taki obraz pozostanie na zawsze w pamięci tych, co go widzieli na własne oczy. Zdrowie żony polepszało się

i pożywienie nasze było coraz lepsze, chociaż musiałem ciężko pracować. Do naszego domu zaczęło zaglądać słońce, radośniej było przy stole. I znów pojawiały się łzy w oczach, ale były one z radości i szczęścia.

Jesień szybko traciła swą szatę, zbliżała się zima. Pierwsze święta Bożego Narodzenia spędziliśmy razem z rodziną. Z wielką radością dzieliliśmy się opłatkiem. Zamiast życzeń były łzy, ale łzy szczęścia, bo spokojnie mogliśmy spożywać wigilię i dzielić się opłatkiem. Święty Mikołaj nie zawitał do nas, więc dzieciom było trochę przykro, ale śpiewaliśmy kolędy. Zaś drugi dzień spędziliśmy w szkole, gdyż urządziliśmy choinkę i zabawy. Ferie zimowe szybko skończyły się i nastały dni harówki, jak dnia każdego. Krótkie dni zimowe mijały szybko, a wieczory poświęcaliśmy na odrabianie zaległości z dziećmi. Wielkanoc przysłała szybko, a z nią dłuższe dni i więcej ciepła oraz nadzieja lepszego jutra.

Rok 1946 był największym wysiłkiem całego narodu. Trzeba było uprzątnąć ślady wojny i budować wszystko od nowa. Wszystkie ręce wyciągnęły się do wspólnej pracy w miastach i na wsi. A najbardziej troszczono się o odbudowanie stolicy — Warszawy. Maszyny i ludzie sprzęgli się ze sobą do walki szlachetnej, do walki o byt dla siebie i przyszłych pokoleń. To była najpiękniejsza karta naszej historii, dając tym dowód całemu światu, że potrafimy stanąć w obronie, lecz i dźwignąć gmach wspólny Ojczyzny. W takim też położeniu znalazły się te wsie, które zostały spalone, a ich słomiane strzechy nic po sobie nie zostawiły. Jednak gospodarze mieli częściowo swój materiał lub korzystali z lasów dworskich czy państwowych. Część młodych ludzi odeszła do miast i zajęła miejsce po wymordowanych przez okupanta Żydach. Była to wędrówka ludzi po własnym kraju.

Miesiące wiosenne szybko mijały. Nie było czasu upajać się urokiem miłej przyrody. Zbliżał się koniec roku szkolnego, więc należało wyteńczyć siły do pracy nad swoimi dziećmi i uczniami w szkole. Wszyscy odetchnęliśmy z ulgą i zadowoleniem, gdyż rok szkolny zakończył się pomyślnie. Mnie czekała nowa praca, gdyż przyjąłem obowiązki wychowawcy na kolonii w Rybieniu; mogłem poprawić swój byt przez dodatkowy zarobek. Drugi miesiąc poświęciliśmy dla siebie, aby regenerować siły całej rodziny do dalszej pracy w następnym roku szkolnym.

W nowym roku 1946/47 rozpoczęliśmy naukę w lepszych warunkach pod każdym względem. Córka była już w liceum, w klasie pierwszej w Borkach. Milszy był każdy dzień następny i uroczyste święta. W 1947 roku sprzedaliśmy nasz dom w Rutkach i kupiliśmy w Tłuszczu pół domu. Byliśmy już u siebie w domu. Radość i polepszenie bytu dodało siły i zdrowia. Dzieciaki uczyły się w ciągu roku szkolnego. A podczas wakacji organizowałem kolonie letnie i byłem też kierownikiem takowych przez siedem lat w Urlach i w górach. Jednocześnie byłem kierownikiem Towarzystwa Przyjaciół Dzieci. Obowiązków przybyło, ale ja i dzieci moje ratowaliśmy swój tak osłabiony organizm wśród lasów i zdrowego powietrza. Żona zaś wycoczywała samotnie i regenerowała swoje zdrowie i nerwy, stargane okupacją...

W roku szkolnym 1950/51 Rysio już był uczniem pierwszej klasy liceum, a Zunia rozpoczęła naukę w szkole felczerskiej, gdyż na wyższą uczelnię się nie dostała. Egzamin o Polsce współczesnej nie udał się jej i nikt z rodziny nie był partyjny, a to miało znaczenie... Życie rodzinne się rozwijało, inne były wymagania; żona poszła do pracy w sklepie, potem w klubie miejscowym.

W 1952 roku prowadziłem obóz młodzieżowy w Lesznie. I tu miałem najwięcej kłopotów, a jednocześnie wiele nieprzespanych nocy. Wszystko się dobrze skończyło; dużo wrażeń i doświadczenia wyniosłem z tej placówki. A jednocześnie pozostały miłe wspomnienia młodości uczestniczek i moje...

Jednym z ważniejszych wydarzeń w naszym życiu był rok 1953. Rysio ukończył technikum budowlane w Mińsku. Zunia wyszła za mąż za Józefa Paruszewskiego, kolegę z Tuszczu. Rodzina się powiększyła. Postanowiliśmy pozostać na stałe w Tuszczu, więc sprzedaliśmy swoją posiadłość w Rutkach i połowę domu w Tuszczu, a za to kupiliśmy plac i dużo materiału budowlanego. Włożyliśmy dużo pracy własnej i domek rósł z każdym dniem. Zrodziła się dziwna zawiść i pytania — "Skąd oni wzięli tyle pieniędzy...". Doszło wreszcie do tego, że musiałem się gęsto tłumaczyć w pewnym miejsku...

W 1955 roku zmarła żony mama i znów rodzinę naszą okryła żałoba. Już z żoną nie mieliśmy swoich rodziców... Zaciągnęliśmy pożyczkę i częściowo wykonywaliśmy nowe pomieszczenia. Wszędzie musiałem się tłumaczyć, a nawet płacić łapówki.

Dużo kłopotu sprawiło nam niespodziewane aresztowanie kolegi Podsiada. Aresztowano go, lecz podczas prowadzenia go przez stojące pociągi uciekł im. I potem ukrywał się dłuższy czas, aż wyczerpany zgłosił się po pewnym czasie; zmarł z nieznanych przyczyn. Ktoś go oskarżył o przynależność do AK. Bałem się, że przyjdą i po mnie, czekałem...